

Nr. 9. Lwów 23. Lipca, 1870 R. Rok I.

OBRAZKI Z EMIGRACYJNEGO ŻYCIA.

PRZEZ

Zygmunta Gawareckiego.

(Dokończenie).

Nie będziemy opisywać całej kampanji naszego bohatera, któremu zarzucano że nie zawsze okazał się służbistą należycie, a przytem że w spotkaniach dostawał tej choroby, co to ją Niemcy nazywają *Kanonenfieber*. Przy takiem bowiem prowadzeniu wojny jak w ostatniem powstaniu, co to rozpuszczano ciągle na kwatery, nie mógł się nikt na dobrego żołnierza wyrobić. Dość więc powiedzieć, że po różnych przejściach jednego pięknego poranku, Gucio znalazł się w Polsce, ale zakordonowej. Niestety to już emigracja się rozpoczęła tak dla niego jak i dla innych. Ścigany przez władze zakordonowe udał się pod włoski klimat, gdyż to było pod koniec zimy 1864. W kraju tak artystycznym jak Włochy, nic dziwnego że Gucio został artystą. Będąc bowiem w Turynie, Gucio grywał wieczorami na fortepianie w kawiarniach, za co otrzymywał 2 franki, pół kury pieczonej, chleba i wina *à discrétion*. Życie jednak artysty mało miało dla niego powabu, więc przybył do Paryża, a z nim przybyła razem dawna jego nieopatrzność i brak zastanowienia się. W Paryżu życie ciężkie, więc porobiło się długi, a tych narosło tyle że znajomi powiadają, iż są niektóre ulice na których Gucio dla nieprzypominania się swym szanownym wierzycielom, nigdy w dzień, a tylko późno w nocy pokazać się może. Byłoby nieraz z Guciem niesłychanie źle jednak, żeby się ktoś nie znalazł, jak to trzeba przyznać nie raz się na emigracji trafia, co by mu przyszedł z pomocą bratnią w ciężkich czasach. Rzecz może szczególna, ale pomimo to w zupełności najprawdziwsza, że w liczbie takich co Guciowi z pomocą przychodzą, znajduje się pewien krawiec, którego tu nazwiemy Kaliski. Krawiec ten był przedtem faktorem w małem miasteczku, bliskiem majątku familji Gucia. Wypadki ostatniego powstania zmusiły go wydalić się wraz z innymi na emigrację, gdzie nauczywszy się krawiectwa i szycia maszynowego, zarabia teraz na utrzymanie swoje, familji i pomaganie Guciowi. Jest to istotnie z jego strony piękny czyn, wyższy nad wszelkie pochwały, przypominający miłosierny uczynek biblijnego Samarytanina, litującego się nad bratem choć innego wyznania, a wcale nie bacząc na to, że ten brat sam jest winien swemu kieszeniowemu wiecznemu kalectwu. — Otóż ten Kaliski, kiedy mu mówiono, że Gucio jako hulaka nie zasługuje na pomoc od innych, broniąc go tak o nim opowiadał:

No, przecie Gucio to jest pan wychowany w dostatku i przyzwoitości, nie może byle co i ordynarnego robić. Chociaż bardzo hulaka, ale jednak dobry chłopak, i żeby nie ja to by już dawno zdech z głodu i nie miał w czem chodzić. Wiele ja razy to mu mówię; Guciu! Guciu! ustatkuj się, już dosyć tych łotrostw i hulanków robić, już trzeba pańskie czasy zapomnieć.

— Ale mój drogi Gucio mi powiada, kiedy jak mam jakie pieniądzów, to zawsze ktoś przyjdzie i trzeba mu coś kupić.

— No mój Guciu kup mu do jedzenia, a nie kupuj mu do picia. Te pijatyka to bardzo dużo kosztuje.

— Cóż chcesz, wczoraj miałem 10 franków i dzisiaj nic już nie mam, bo wszystko wydałem. Pożycz mi 5 franków.

— Cóż było robić, nie miałem ochoty, ale przecie on takiego bogatego ojca syn, nie może chodzić nago, ani bez grosza na ulicy, więcem mu dał, ale mu powiadam: Nu pamiętaj Guciu, to ostatnie; musi ci to na 5dni wystarczyć, póki nie odbierzesz pieniądzów z kolei. Odszedł ode mnie, a ja mu jeszcze na odchodnem mówiłem:

No pamiętaj Guciu, tylko na pięć dni. Alem ja się zaraz dobrze domyślił, bo na drugi dzień, jeszczem spał, a tu już jest Gucio.

— No Kalisiu ani grosza nie mam, nie masz tam co pieniędzy?

— A juści nie mam, skąd mam brać, abo to ja monnicę mam.

— A to źle, nie będę dziś jadł obiadu.

Więc myślę sobie: on jeszcze bestja gotów porzucić to miejsce, chociaż mi mówił że on to już rzuci. Bo przecie za półtrzecia franka cały dzień się nad robota zabijać nie może. Nu ale co robić, dobry chłopak — bo on zawsze taki dobry chłopak jest. — Abo to Gucio już z tych pięciu franków, ani grosza nie ma?

— No daj co masz.

— A kiedy nic nie mam.

— No daj choć pół franka.

Dałem mu pół franka i postanowiłem nigdy mu już więcej nie dawać jak po pól franka żeby nie tracił. Zresztą on będzie miał pieniądze teraz, mówił mi: że tu przyjechał jego krewny, wielki bardzo pan, bogaty człowiek, który teraz także nic nie ma, bo stracił wszystko. Gucio mi powiadał, że on jest w przyjaźni z tutejszym cysarzem, razem chodzili na szkołę jeszcze. Jak tylko też tu przyjechał, zaraz napisał list do cysarza że on tu już jest. Duchem przyjechał w powozie adjutant i zaraz go się pytal co on chce. *) Mówi bardzo dobrze po francuzku, rozgadywali się też przez pare godzin. Ale on mu powiedział, że niczego nie chce, tylko miejsca na dwanaście tysiąców. Przy takim panu to i Gucio w lepsze pióra porośnie, bo on tu ma wielkie stosunki z największemi bogatemi panami. I że to podobno on Guciowi to miejsce w kolei na dwa i pół franka wyrobił, gdzie biedak od szóstej rano do ósmej we wieczór musi pracować. Bo ten Gucio wcale nie jest glupi chłopak. Umie grać na fortepianie i we wszystko, po francuzku gada dobrze, a mówił mi, że jak przedtem był na Włochach to i po włosku gadał. I on by tu mógł dobrze zarobić, żeby jeno nie był taki próżniak i żeby nie miał tyle długów, co mu nie pozwala chodzić wszędzie we wszystkie kartja **), ani na wszystkie uliców. Mówię mu to sam nieraz: Guciu ustatkuj się trochę, chociaż wiem że to trudno, bo cóż przecie biedny chłopak z głodu nie może umrzeć. Pare tygodni temu jak przyszedł do mnie, taki rad i kontent. Powiada do mnie: mój drogi wiesz ty co? bardzo dobre dostałem miejsce, mogę 25 franki na wieczór zarobić, u jakiegoś ministra, grać na fortepianie. Ale to co najgorsza...

— No to co — pytam go się?

— Bo to nie wiesz co, przecie ty mi tylko rzeczy robisz i wiesz że nie mam porządnej gardyroby. — I pokazał mi że nie ma portki. — Myślę sobie, może tak dużo zarobić a przecie bez portki nie może iść na wieczór do ministra, a tam wszystkie wielkie panowie są. Z lekkiego więc korciku zrobiłem mu ciemne, żeby były i na zimę i na lato. Na trzeci dzień już je wdział na siebie; a na powszedni dzień wyreperowałem mu te stare, żeby w nich w dyszcz i we błoto chodził. Już był tak kontent, że aż mnie uściskał i obiecał, że kiedy teraz tak będzie dużo zarabiał, to i o mnie nie zapomni i za wszystko zapłaci i że zawsze całą gardyrobę ja mu tylko będę robił. Ale przecież, powiada, że bez fraka nie może iść na wieczór, i żebym mu koniecznie się o jaki fraczek postarał. Duchem poleciałem i na drugi dzień, jeszcze rano leżał, kupiłem mu jak śkło fraczek na jedwabnej potrzewce, zupełnie cały i bardzo dobry za jedenaście franków. Ale co z Guciem robić? Ja mu fraczek przyniósł, a on już portkę sprzedał. Na wieczór nie poszedł, i pewno już tam ministrowi kto inny za niego wygrywa.

*) Wypadek ten istotnie miał miejsce.

**) Czyli części miasta, na jakie się Paryż dzieli.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA
Z CZASOW OSTATNIEGO POWSTANIA.

(Ciąg dalszy.)

Stanęliśmy w *Czapli* o godzinie 10 wieczorem. Zatrzymano nas na drodze i staliśmy w szeregu (a mówię o żuawach), kto był znużony więcej i nie mógł stać to się położył i zasnął snem błogosławionych, ja jeszcze czuwałem.

Spoczynek nasz w Czapli miał na celu wyczekanie do rana aby jednocześnie z oddziałem, który z Dąbrowy miał atakować na Miechów i nam uderzyć, przyniósł zaś skutek wręcz przeciwny bośmy się spóźnili, i właśnie nie uderzyliśmy jednocześnie. Złośliwi mówili, że spoczynek w Czapli był dlatego zrobiony aby panowie naczelnicy i sztab wypić mogli kawę. Ja nie wiem co się tam działo we dworze, czy może kawy nie było i posyłano po nią do Miechowa, czy może zaspali dostojnicy nasi, dosyć, że ten spoczynek trwał za długo i dał czas Moskalom w Miechowie dowiedzieć się o nas, przygotować się do walki i wyprawić gońca do swojego oddziału z zawiadomieniem, że Miechów ma być atakowany, że zaraz się poddać będzie musiał prawie bez oporu, jeżeli z odsieczą nie pospieszą. Szczęściem tego gońca przytrzymano.

Staliśmy. Byliśmy głodni, więc i rozmowa toczyła się o jedzeniu. Mówiono że w Miechowie mają nas przyjąć bardzo gościnnie, właśnie w tłusty wtorek mieliśmy tam przybyć. O bitwie nie mówiliśmy, paręset ciurów zdawało się

nam nie będą stawić czoła takiej znakomitej sile jak nasza, a gdyby i nastawili się, no to sprzątniemy. Wszakże to było dla nas nieprawdopodobnem. Więc też marzyliśmy jak nas rozstawią po kwaterach, jak nasamprzód wyrzniemy tęgiego snu, a potem podjemy *pączków*, i znowu będziemy spać, potem zaś jak przyjdą Moskale będziemy ich tłuc i zgnieciemy na miazgę. Te pączki zapustne taką napawały nas roskoszą, że o nich głównie mówiliśmy, a nadto powiadano nam, że przygotowania na nasze przyjęcie zrobiono olbrzymie i czem chata bogata tem nas miano uraczyć w Miechowie. Miechów więc był dla nas ponętnym i okropnie złorzeczyliśmy przywódzcom, że nas trzymają w otchłani głodu i bezsenności na mrozie, a nie dają nam dostąpić do tego raju łóżek i półmisków w ciepłej izbie. To były nasze marzenia. Ale wiadomo człek strzela pan Bóg kule nosi.

Staliśmy w szeregu tylko my żuawi, bo zresztą cały oddział rozsypał się po wsi szukając pożywienia. Zapewne że to nie pięknie, ale przykład dany był z góry, a znowu po takim marszu chciało się jeść okropnie, licząc zaś na te pączki nic dla nas nie wzięto.

Odwiedził nas Rochebrun.

— A cóż jak się macie — pyta.

— Jeść chcemy — wołamy w jeden głos.

— Co, jeść! — wrzasnął i zaklął po francusku, że aż niedobrze się zrobiło, gdyż był okropnie surowym — jakto żeby *żuawi śmierci* jeść chcieli?!

Milczymy, nikt nie śmie głosu podnieść chociaż jeść taki chce się.

— Jakto! kto śmie mówić że jeść chce? — począł znowu tłumacząc myśl swoją — żeby żuawi śmierci nie umieli sobie zdobyć co do zjedzenia, a czy to ja będę dla was jeść przynosił, a nie możecie to sobie zdobyć, was niańczyć trzeba. Fe! gdybym więcej tego nie słyszał, gdyby zaraz wszyscy wyszukali sobie co zjeść, to jest mój rozkaz.

Trzeba bowiem dodać, że Rochebrun miał niełada zachcianki komunistyczne i rabulistyczne. Już on w nas od samego początku wpajał to przekonanie, że jak się oddzielimy od oddziału i będziemy działać na swoją rękę to wszystko gwałtem zdobywać będziemy i łupami się dzielić łupami nie koniecznie na nieprzyjacielu zdobytemi. Szczęściem że nie dowodził najemnikami, ani żołnierzami, ale obywatelami, którzy cokolwiek lepsze od niego mieli wyobrażenie po co wyszli do powstania i cokolwiek lepiej od niego rozumieli co to jest własność. Tym razem jednak nie byliśmy nie czuli na głos swego dowódzcy i w mgnieniu oka obeszliśmy wszystkie domostwa, ale cóż kiedy kosynierzy i bez rozkazu wyprzedzili nas i zjedli wszystko co się zjeść dało.

Powróciliśmy na miejsce ani trochę nie zaspokoiwszy głodu. Stanęliśmy do szeregu, a co dalej było tego już nie wiem, bo już mię siły opuściły, zasnąłem i upadłem.

— Marsz! marsz! — hasło to przebudziło mię i innych i ruszyliśmy w pochód.

Była godzina 2ga po północy. Przestaliśmy więc w Czapli akurat tyle ile potrzeba było aby się opóźnić na umówioną godzinę napadu na Miechów.

Ponieważ jednak atak od strony przeciwnej nastąpił o godzinie piątej więc wzmiankę o nim zrobić muszę, a to trzymając się tego co mi opowiadano.

Cybulski, który dowodził oddziałem idącym z Dąbrowy, podszedł pod Miechów — gdzie Moskale już przygotowali się na jego przyjęcie i dostrzegli przybycie, wcześnie więc nie dając mu przystąpić jeszcze rozpoczęli ogień — ale nie widząc umówionych sygnałów ze strony przeciwnej, straciwszy kilku ludzi cofnął się aby strzały nieprzyjacielskie nie szkodziły i posłał rekonesanse aby się dowiedzieć co się dzieje, gdzie my jesteśmy. A gdy się na chwilkę oddalił od oddziału, żołnierze nic nie wiedząc, skonfundowani i straszeni ciągle pukaniem Moskali poczęli cofać się pojedynczo, a potem i zbiorowo.

Na tem się skończył atak pierwszy.

My o niczem nie wiemy. Nasi dowódzcy przypuszczając, że kiedy oni się spóźnili to i Cybulski musiał się spóźnić, kiedy oni spali to i Moskale spać musieli, prowadzą nas z dobrą miną. Zatrzymują chwilkę przy karczmie, której wrota nie chciały się otworzyć. Więc pukają, stukają, rąbią — aż w tem wypuszczona jedna za drugą rakieta w Miechowie zawiadomiły nas, że Moskale nie mieli tak twardego snu jak nasi łaskawcy.

Wodzowie nasi ujrzawszy rakiety zdurnieli, t. j., zresztą każdy zrozumie co to jest, potracili głowy Tylko Rochebrun jej nie stracił i jak poprowadził nas naprzód tak i cały oddział posunął się za nami — no, bo nie mówię o wyjątkach, którzy jakoś potrafili się dostać do pobliskiego lasu. Zresztą takich nie było dużo, wszakże bezpieczniej jest w gromadzie jak na osobniaka, ale natura wilka do lasu ciągnie, więc niektórych pociągnęła.

Była już godzina może szósta, może siódma, było jeszcze ciemno. Nie wiem która była godzina gdyż mój zegarek miał tę osobliwość, że regularnie zawsze stawał przed bitwą, i był to dla mnie prognostyk nieomylny, którego dnia mieliśmy mieć bitwę. Nie był jednak tak grzecznym aby po bitwie znowu maszerował bez naprawy, nie, zawsze go trzeba było dawać do zegarmistrza. Ot i zegarki mają swoje kaprysy.

Byliśmy okropnie znużeni i głodni, spać i jeść szalenie się chciało. Już to co do spania to po troszę spało się w marszu. — Niech nikt nie posądza abym zmyślał, spaliśmy wszyscy prawie, a jako nienawykli do marszu regularnego

rozłaziliśmy się po całej drodze i co pięć minut musiano zatrzymywać oddział aby stanęli do szeregu, lecz na komendę: Stój! — wszyscy padaliśmy na ziemię, poczem następowała komenda: — Marsz! — i znowu powtórzyła się taż historja. Więc ciągle było tylko słychać: — Stój! — Marsz! Stąd ja nie wątpię, że regularne i wyćwiczone wojska Napoleona odbywając regularne marsze mogły spać wybornie w marszu.

Nas to więcej nurzyło, aniżeli dawało spoczynku. Tyle tylko, że o głodzie zapominaliśmy.

Było jeszcze ciemno i nie wiele przed sobą można było widzieć, przypuszczam więc tylko, że byliśmy o 2 wiorsty od Miechowa, którego jednak w tej chwili widzieć nie mogłem, gdy już z miasta poczęto do nas czy właściwiej w stronę zkądeśmy szli strzelać. Pukanina ta na wiatr nie robiła na nas wrażenia, lecz zapewne zawiadomiła naszych naczelników, że Miechów już jest blisko, gdy na odgłos strzałów nastąpiła komenda Rochebruna — w pra-wo!

Opuściliśmy trakt i weszliśmy na pole, gdzie



POMNIK WALEREGO ŁOZINSKIEGO NA CMENTARZU ŁYCZAKOWSKIM.

w marszu rozwinął nas w linję bojową i taką linją postępowaliśmy naprzód, niestrzelając jeszcze, bo nic przed sobą nie widzieliśmy, dopiero poczynało szarzeć. W marszu też, który był przyspieszonym krokiem, Rochebrun rozdzielił nas na dwa oddziały i powierzywszy komendę jednego kapitanowi B., sam z drugim poszedł w kierunku na prawo, okalając miasto, a może



POMNIK WACŁAWA ZALESKIEGO NA CMENTARZU ŁYCZAKOWSKIM.

chcąc się złączyć z oddziałem prowadzonym przez Cybulskiego.

Zaledwie ten podział nastąpił i Rochebrun cokolwiek się oddalił, kapitan nasz zakomenderował:

— Do ataku, na bagnety, naprzód, marsz, marsz!!!

Zdaje mi się, że nie wspomniałem powyżej iż my żuawi byliśmy uzbrojeni w nędzne karabiny, na których jednak były bagnety, niektóre z tych karabinów były skałkowe jeszcze, karabiny te zdobyte na Moskalach, pogranicznej straży. Mogliśmy więc iść na bagnety, chociaż nam nikt nie pokazywał w jaki sposób na bagnety się bije.

Na komendę ruszyliśmy kłusem przed siebie, a kule moskiewskie poczęły przerzedzać nasze szeregi. Ujrzeliśmy w pobliżu przed sobą Moskali i kto uspiał w biegu wypalił, co także niepozostawało bez skutku.

Gdyśmy tak biegli i zbliżali się do Moskali co stali na jednem miejscu i przypuściwszy nas na kroków kilkanaście, dali ognia i w tej chwili wpadliśmy do wąwozu, który przedzielał nas od Moskali; oni właśnie czekali na tę chwilę i właśnie wtedy siarczystym ogniem nas przywitali, który nie tyle szkody wyrządził, co przestrachu, gdyż wszyscy wpadaliśmy do wąwozu i każdemu się zdawało, widząc upadających, że prawie wszystkich zabito. Można jednak przypuścić, że w tej chwili większa już połowa naszego oddziału (złożonego z 70 i kilku ludzi) była albo zabitych albo ranionych i garstka nas tylko dobiegła do przeciwnego brzegu wąwozu, brzegu stromego, na wierzchołku którego stali Moskale.

Nie mieliśmy odwagi probować szczęścia. Stanęliśmy. Ani my do nich, ani oni do nas, strzelać w tej pozycji nie mogli. Poczęliśmy wołać na kosynjerów.

Co do mnie, to w chwili kiedy powstałem w wąwozie i zdążałem na brzeg przeciwny, zdało się, iż ktoś kułakiem uderzył mię po plecach, obejrzałem się z wściekłością, nie było nikogo za mną. Zdaje mi się, że to kula moskiewska uderzyła w mój rewolwer, który się właśnie w tej chwili rozsypał. Tak przynajmniej powiadają, że kiedy kula uderza z przodu, to ugodzonemu zdaje się, iż go z tyłu uderzono. Jeżeli tak jest, byłby to dosyć szczęśliwy traf, bo rewolwer zasłoniłby mię od śmiertelnej rany.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WALERY ŁOZIŃSKI.

Młodzieniec, urodzony w 1837 r., a już w 1861 zmarły, wcześnie rozwinięty, potrafił w krótkiem swem życiu dać się poznać publiczności i zyskać bardzo piękne imię na polu literackiem. Znane są powszechnie powieści jego, a które w swoim czasie budziły wielkie zajęcie, jak: *Szlachcic chodaczkowy, Szaraczek i karmazyn, Dwór zaklęty, Dwie noce* i *Czarny Matwij* (tę ostatnią podamy w Bibljotece Mrówki), a dziełko jego *Ludzie z pod słomianej strzechy,* zostało uwieńczone nagrodą. Dla teatru napisał *Verbum nobile* i *niebezpieczny człowiek.* Próbował także sił swoich i na polu historycznem i napisał szkic historyczny p. n.: *Starsza siostra Zygmunta Augusta,* która to praca bardzo wielkie kazała rokować nadzieje i byłby niezawodnie autor wzbogacił literaturę wielu podobnemi, gdyby przedwczesna śmierć nie wyrwała go nam.

Został zamordowany w pojedynku.

WACŁAW ZALESKI.

Wacław Zaleski urodził się w r. 1799. Znany jest w Galicji, gdyż był gubernatorem w r. 1848, którą posadą nie mógł się długo cieszyć, gdyż pozostał zawsze dobrym Polakiem. Największą położył zasługę przez zebranie pieśni ludowych. Sam także pisał i z większych prac jego poetycznych znany jest dramat *Judyta.* Obok urzędowania i uprawiania poezji, był on jeszcze matematykiem, wielkie miał do tej nauki zamiłowanie i poświęcał się nawet zawodowi nauczycielskiemu. Prace jego literackie są podpisywane pseudonimem *Wacław z Oleska.*

Umarł w roku 1849 i pochowany we Lwowie na cmentarzu łyczakowskim.

WIOSNA I JESIEŃ

(z Berangera).

Wszystko się w dwie pory składa
Kto wesoło umie żyć —
Wiosna nam różami rada,
A w jesieni jest co pić.

Dni przybywa — serce rośnie
Krótkie dnie — wino się pieni;
Precz mi z puharem we wiosnie
Nie czas kochać już w jesieni.

Zdałoby się bezwątpienia
Złączyć te rozkosze dwie:
Pić i kochać bez sumienia,
Ale zdrowie!.... boję się.

Więc z rozsądkiem idąc w parze
Tak się wije dni mych świta:
Wiosny nie topię w puharze,
W jesieni z miłości kwita.

W maju zobaczyłem Rózię —
Tożto sercu przyszło znieść,
Rozchmurzać jej czółko, buzię,
I tak przez miesięcy sześć.

Lecz się wnet zmieniły karty,
Zbawca się październik jawi;
Wiosna z wina stroi żarty,
Jesień w miłość się nie bawi.

Kocham, rzucam, ceregieli
Z Adelką nie robi się,
Żegnam ją jednej niedzieli,
W dwa miesiące szuka mnie.

Lecz wszystko ma swoją porę —
Spoczywałem już w altanie....
Na wiosnę niech miłość gore,
A w jesieni winobranie.

Lecz jest jedna, oszołomień
Moich zdrój, podlegam jej,
Ona to mój winny płomień,
Tysiąc pragnień w duszy mej.

Jeśli zechce, jakby czarem
Bieg dni moich łatwo zmieni —
I witam wiosnę puharem,
A kocham, kocham w jesieni. *Alf.*

PIWO.

(Ciąg dalszy).

Piwo, jakeśmy powiedzieli, wyrabia się z jęczmienia, czyli z tej mąki, jaką jęczmień w sobie zawiera. Czem że tedy jest ta mąka jęczmienna i czem się ona wyróżnia od mąki innego zboża? Mąka jęczmienna posiadając pewien skład sobie właściwy, wielce jest zbliżoną do mąki każdego innego zboża. Każda mąka — żytnia, pszenna, grochowa, kukurydzowa i inne — składa się głównie z dwóch części klejku (kleber, gluten) i krochmalu. Obie te części z łatwością mogą być oddzielone jedna od drugiej za pomocą bardzo prostego rękoczynu. Jeżeli weźmiemy pewną część którejbądź mąki, dodamy do niej wody i rozmieszamy na ciasto; a następnie jeżeli pewien kawał takowego ciasta zanurzymy do wiadra wody i zaczniemy go przewracać, mieszać, ściskać w rozmaitym kierunku, to w przeciągu pół godziny lub trzech kwadransy czasu, zauważamy z łatwością, że część pozostająca w naszem ręku znacznie się zmniejsza, robi się coraz więcej klejkowatą, elastyczną, dającą się rozciągać znacznie, coś nakształt gumalastyki. Zkąd inąd zauważamy znowu, że woda, w której odbywaliśmy tę operację, coraz staje się więcej mętną, czyli bielszą.

Właśnie tym sposobem rozdzieliliśmy mąkę na dwie główne jej części składowe: część pozostała w ręku, klejkowata, stanowi ten kleik, o którym wspominaliśmy uprzednio — czyli część azotną mąki — przeznaczoną głównie do karmienia naszych tkanek. Jest to ta część, którą znajdujemy w potrawach mięsnych, sztucznych i t. p. Druga część mąki została oddzieloną od pierwszej w skutek naszej mieszaniny i przyczyniła się właśnie do tego, że woda nabrała koloru białowotego. Ta część jest to krochmal, bogaty w elementa wodowęglorodne, wielce nam pożyteczne dla zaspokojenia potrzeb oddechowych, jakoteż dla utrzymania cieplika w naszem ciele.

Otóż właśnie ponieważ wszystkie potrawy mączne, posiadają te dwie główne części składowe, kleik i krochmal, które tak ważną rolę odegrywają w naszym organizmie, prawie wszystkie potrawy mączne są dostatecznemi do podtrzymania naszego życia. Dlatego to widzimy nieraz, że ludzie biedni, nie mający środków do nabycia lepszej strawy, po kilka tygodni lub miesięcy z rzędu, podtrzymują swe życie jednym chlebem, lub też potrawami składającemi się tylko z wody i mąki.

Trzeba jednak wiedzieć, że nie wszystkie zboża posiadają jedną i tę samą proporcję krochmalu i kleiku i dlatego właśnie nie każde z nich zarówno zaspokaja potrzeby naszego organizmu. Tak np. wszystkie zboża strączkowe — jak groch, soczewica, bób, fasola, mając wielką ilość krochmalu, bogate są zarazem w części karmiące, czyli kleik.

Tyle mają one w sobie tych rzeczy, że prędzej mogą stanowić pokarm kompletny, aniżeli wiele innych przez nas używanych potraw. Jeżeliby naprzykład komuś niestarczyło na potrawy mięsne, mleczne i t. p., a życzyłby wiedzieć, jaką strawą mniej kosztowną, może najwłaściwiej zastąpić ten niedostatek, to radzimy właśnie używania grochu, bobu, lub innych rzeczy strączkowych.

Nie potrzeba jednak sądzić, że wartość tych rzeczy wyrównywa zupełnie wartości mięsa połączonego z chlebem lub inną przyprawą mączną. Bo chociaż bób, groch lub fasola ma dużo tych pierwiastków, które czerpiemy z pokarmów mięsnych, i może je zastąpić przy pewnych warunkach, jednak nigdy nie będą przyjętymi przez nasz organizm w sposób tak łatwy i strawionymi tak lekko, jak się to dzieje z potrawami mięszanemi nawpół z mięsem. Pomimo to, osoby budowy silnej, osoby, których żołądek nie jest rozpieszczonym potrawami delikatnemi, lekko trawiącemi się, osoby oddające się przeważnie pracy fizycznej, których organizm pozostaje w ciągłym ruchu — wszystkie te fasole, soczewice i t. p. trawią w sposób dosyć zadowalający i prędzej niemi mogą zastąpić brak mięsa, aniżeli użyciem innego zboża lub też rozmaitych sałat, marchwi, kartofli, buraków, i wielu innych rzeczy roślinnych, przeważnie złożonych z wody.

Co się tyczy mąki otrzymanej z drugich gatunków zboża, jak n. p. żyta, pszenicy, owsa, jęczmienia lub kukurydzy — to ona posiada znacznie mniej części azotnych (kleiku), aniżeli ziarna strączkowe uprzednio wymienione i dlatego właśnie użyta jedna, bez dodatku rzeczy więcej posilnych — stanowi pokarm mniej kompletny i nigdy niewyrównywający pokarmowi złożonemu z grochu lub fasoli. —

Następnie są gatunki zboża, które prawie nie posiadają kleiku, lub też mają go w ilości nadzwyczaj małej — jak n. p. ryż.

Nie mam potrzeby powtarzać, że użycie ich będzie stanowić pokarm więcej jak niedostateczny. Zawierają one wprawdzie dużo krochmalu i dlatego

właśnie bardzo stosownie mogą być użytemi z potrawami mięsnemi posilnemi (jak n. p. baranina z ryżem), ale same przez się w żaden sposób bez szkody dla zdrowia, używanemi przez czas długi być nie mogą.

Po tej niewielkiej wycieczce do pokarmów mącznych, które dla każdego z nas nie są obojętnymi, z powodu codziennego ich użycia — wracam napowrót do mojego napoju, i powtarzam znowu, że piwo możemy uważać jednocześnie za napój i za pokarm. — Nazywamy go napojem dlatego, że ono ma w sobie części aromatyczne, gorżkie, nieco spirytusu i z tego względu jest zbliżonem do innych trunków — jak wino, miód, likier etc. Możemy go nazwać pokarmem z powodu — że ono zawiera części azotne, dekstrynę, cukier i inne rzeczy karmiące. —

Za wyjątkiem kilku pierwiastków gorżkich i aromatycznych, które są nadane za pomocą chmielu, główną część elementów pożywnych czerpie piwo ze slodu, z którego się wyrabia. — A tak słód czyli jęczmień, podobnie do wielu innych gatunków zboża — może nam służyć za pokarm — zatem i piwo w dobry sposób urządzone, może poczęści spełniać tę funkcję ostatnią.

Dobre tedy piwo — stanowi napój nietylko przyjemny, ale jeszcze pożywny, strawny, orzeźwiający i zdrowy.

Piwo w dobrym gatunku — powinno mieć kolor czysty, nieco przezroczysty, smak gorżkawy, trochę ochładzający, zlekka aromatyczny. Nie powinno posiadać żadnej cierpkości lub też słodyczy. Powinno mieć pewną klejkowatość i przy skołataniu naczynia w którem się zawiera, powinno szumieć czyli wzburzać się obficie.

Ta ostatnia własność, a mianowicie wzburzanie się większe lub mniejsze piwa — stanowi jeden z najgłówniejszych jego przymiotów. Szum okazujący się na piwie jest oznaką pewnej ilości węglanego kwasu, któren zazwyczaj formuje się obficie przy dobrym wywarze i dobrem przechowaniu tego napoju. Następnie zaś burzenie się piwa świadczy o jego klejkowatości. — Woda czysta skłócona w powietrzu nie szumi nigdy dlatego, że pęcherzyki powietrza zachwycone przez wodę — natychmiast unoszą się w górę i nikną w mgnieniu oka. Przeciwnie zaś płyn nieco gęsty i zawierający w sobie trochę klejkowatości, w czasie skłócenia obejmuje masę pęcherzyków powietrza i zawdzięczając tej lepkości jaką posiada — zatrzymuje je przez czas mniej lub więcej długi i przyczynia się do tego, że pęcherzyki wydzielając się powolnie jedne za drugiemi, przedłużają znacznie stan burzenia się napoju. — Klejkowatość zaś piwa zależy od cząstek posilnych, karmiących, o których już wspomnieliśmy uprzednio. — Ztąd konkluzja następująca — czem piwo jest więcej szumiące — tem jest więcej lipkie lub klejkowate czem zaś więcej klejkowate — tem jest bogatsze w części azotne pożywne dla naszego organizmu.

Każde piwo zawiera w sobie pewną część spirytusu. Czasami procent takowego dochodzi do 10ciu na sto części piwa — jak n. p. w niektórych gatunkach mocnych piwa angielskiego — Burton-ale. Zwyczajne zaś piwa nie posiadają więcej jak 2 do 5ciu procentów alkoholu. Po samym smaku można mniej więcej wnioskować o ilości spirytusu w niem zawartego; gdyż wszystkie piwa silnie spirytusowe są dosyć gorżkie — co zupełnie przeciwnie dzieje się z winem — tam nieraz przy znacznej ilości cząstek alkolicznych, smak słodkawy bierze przewagę nad innymi.

(Dok. nast.)

WIADOMOŚCI POŻYTECZNE W GOSPODARSTWIE.

Robactwo niepokojące kury siedzące na jajach.

Podług czasopisma „Blätter für Geflügelzucht“ kury na jaja nasadzone z powodu rozwijającego się przytem nieustannie gorąca niepokoi robactwo i dla tego to, schodząc z gniazda, szukają luźnej ziemi, aby się w niej trzepać a przez to robactwa owego się pozbyć. W tym celu trzeba na to baczyć, aby z miejsca lęgu był wolny wychód, gdzie się znajduje lóźna ziemia, albo też, jeżeli to się nie da zrobić, stało tam pudło z suchą, ale nie za nadto piaszczystą ziemią.

Zachowanie soków malinowych, z świętojanek itd. przez kilka lat bez cukru.

Maliny lub świętojanki i t. p. owoce rozgniata się i stawia w garnku przez 3 do 4 dni w sklepie, aby rozpoczynająca się fermentacja wydzieliła części śluzowe, przez co się osięga więcej soku przy wyciskaniu. Wyciśnięty zaś sok zostawia się przez jedną dobę spokojnie w kuchni lub śpiżarni, a potem klaruje go się, cedząc przez flanelę. Następnie zlewa się w flaszki lub bańki, korkuje lekko i wkłada po poprzedniem obwinięciu słomą w kocioł tak dalece wodą napełniony, ażeby flaszki nie spłynęły, a potem zwolna ogrzewa, dopóki sok nie zacznie się gotować w flaszkach lub bańkach, co się poznaje po pianie z pod korków się wydobywającej. W tym stanie trzeba sok gotować przez kwadrans, poczem zaś zaraz flaszki zakorkować mocno, zawiązać i oblać lakiem lub żywicą.

Sok taki, z równą ilością cukru raz przegotowany, tworzy syrop świeżemu wcale nieustępujący.

Treść Nr 9.: *Obrazki z emigracyjnego życia przez Zygmunta Gawareckiego. — Kartki z pamiętnika z czasów ostatniego powstania. — Walery Łoziński i Wacław Zaleski (z rycinami). — Wiosna i Jesień (z Berangera) przez Alfa. — Piwo. — Wiadomości w gospodarstwie pożyteczne.*

Wydawca i odp. redaktor: **August L. Skerl.** Z drukarni K. Gromana i spółki pod zarządem A. Skerla.